

Adam Michnik poleca

KOMU WOLNO WIĘCEJ

W Polsce wszyscy są realistami. A w każdym siedzi awanturnik i arogant

Marek Beylin

Realizm polityczny to postawa tyleż pożądana, co podejrzana. Nikt bowiem, kto diagnozuje rzeczywistość lub w niej działa, nie uważa się za fantastę. Zwłaszcza w czasach trudnych, gdy przyszłość staje się niepewna i groźna, rośnie popyt na realistów – osoby, które trafnie rozpoznają ducha czasu.

Toteż dziś, gdy w sąsiedztwie hula wojna Putina, a u nas panoszy się pisowski putinizm, gdy grozi nam zapaść gospodarcza, a całemu światu katastrofa klimatyczna, i nikt nie potrafi stwierdzić, jaka będzie przyszłość, każdy i każda, kto ma opinię o sprawach publicznych, uważa się za realiste/realistkę. A ponieważ takich opinii jest pełno, Polskę wypełnia hałas skłóconych realizmów.

Wszak realistami nazywają siebie stronnicy Putina, bo wierzą w wieczny prymat jego doraźnej siły. Ba, widzą w sile i dominacji najważniejszy instrument polityki, ponieważ, jak sądzą, tylko tak da się stworzyć trwały ład. Traktują więc tych, którzy wspierają Ukrainę w jej walce, jak niebezpiecznych awanturników.

My zaś, stronnicy niepodległej Ukrainy i przeciwnicy tak Putina, jak europejskich putinizmów, jesteśmy przekonani, i z powodów etycznych, i w imię naszego realizmu, że należy powściągnąć agresywną siłę Kremla. Nie tylko po to, żeby ocalić niepodległość Ukrainy, lecz również, by europejski pokój wiązał się z demokratycznym rozwojem.

Nasz realizm podpowiada też, że za taką demokratyczną stabilizację warto zapłacić nawet słoną cenę przejściowej gospodarczej zawieruchy. Ale widzimy także, jak szybko ten nasz realizm staje się w Europie mniejszościowy.

Im dłużej potrwa wojna, tym głośniejsze europejskie społeczeństwa będą domagać się pokoju i końca wyrzeczeń, nawet jeśli ów pokój miałby oznaczać zwycięstwo Putina. I bez złudzeń: jeszcze trochę drożyzny i trochę recesji, a te nastroje ogarną Polskę. Na to właśnie liczą Putin i jego stronnicy; w tym sensie są realistami.

...

Podobnie z Jarosławem Kaczyńskim. Jego zwolennicy uważają go za największego realiste swoich czasów. Wszak od lat trzyma władzę, posługując się siłą. Tworzy też udatnie własną elitę uprzywilejowanych. Dowodzi więc swoim ludziom i wyborcom, że siłowy reżim oparty na bezprawiu i korupcji, na przemyśle kłamstw i nagonek, na dyskryminacji i nacjonalizmie, ma przyszłość, bo zapewnia władzę równie skutecznie jak miękka, rozlazła demokracja.

A przeciwnicy Kaczyńskiego, jak ja, obok etycznego buntu przeciw takiej władzy, wskazują, że prowadzi on Polskę do



• 1 maja 1982, Warszawa, plac Zamkowy. Manifestacja przeciwko stanowi wojennemu FOT. MARK CARROT/FOTONOVA

rychłej katastrofy politycznej, gospodarczej i społecznej.

Tyle że dziś nie wiemy, który z tych realizmów weźmie górę. Bo można sobie wyobrazić, że piekło Putina i półpiekło Kaczyńskiego rozprzestrzenia się w naszej cywilizacji. I choć wielka część demokratów wzruszy ramionami – wszak wierzymy w siłę demokracji – zależy to jednak od okoliczności, jakich jeszcze nie znamy. Co uprzytomnia, że w każdym, kto mieni się realistą, więc przydaje sobie trafny wgląd w przyszłość, siedzi kawał awanturnika i aroganta.

A pisać tak nie po to, by dezawuować polityczny realizm. Co zresztą byłoby zamiarem daremnym, bo poczucie, że jest się realistą i ma się innym coś do zaproponowania, napędza życie publiczne i polityczne. Nie dezawuuuję więc, tylko zwracam uwagę, że w naszym świecie, rozrywającym i atomizowanym lękami, zagrożeniami oraz masową produkcją fałszów, coraz trudniej odróżnić realizm od majaczeń. I, co gorsza, coraz trudniej orzec, że mroczne majaki to tylko polityczna fantastyka.

Ale nawet jeśli nie możemy nic orzec w sprawie przyszłości, jesteśmy w stanie rozsądzać, który z owych politycznych realizmów lepiej służy teraźniejszemu życiu. Rozsądzać, pamiętając, że redukowanie polityki do władzy i dominacji zaprzecza jej sensowi i celom.

Bo celem polityki nie jest władza niektórych, tylko takie urządzenie świata, by czynić życie lepszym dla wszystkich. Tyle mó-

wi przynajmniej wgląd w dzieje i podstawy demokracji oraz w to, czego oczekują demokratyczne społeczeństwa. My zaś, choć żyjemy w demokracji skonfiskowanej i znieprawionej, wciąż jesteśmy w większości z nią związani przez wyznawane wartości, aspiracje, emocjonalne przywiązania.

W tym sensie u podstaw każdego realizmu leży wybór etyczny, mimo że część realistów odżegnuje się od etyki. Obstawiasz jakieś wartości – lepsze życie dla wszystkich bądź tylko dla uprzywilejowanych mających siłę – i albo wygrasz, albo przegrasz. Właśnie ten etyczny wybór – wobec niewiadomej przyszłości – daje nam najważniejszą miarę naszych realizmów.

Z tego punktu widzenia są więc realizmy, które korzą się przed bożkiem siły, i takie, zgodnie z którymi na samej sile nic dobrego ani trwałego nie da się zbudować. Mamym szansę przetrwać, i w demokracjach, i w zmaganiach z katastrofą klimatyczną, jeśli wyłoni się wspólna sprawczość obejmująca jak najwięcej z nas. Gdy, innymi słowy, polityka stanie się dziełem zbiorowej troski, a nie ekskluzywnej dominacji i twardych hierarchii.

...

Oczywiście to diagnoza stronnicza. Wychowałem się bowiem na realizmach tyleż wizyjnych, co obywatelskich. Na realizmach KOR-u i Jerzego Giedroycia. Zresztą w tamtych czasach nikomu nie przychodziło do głowy, że te koncepcje mają coś wspólnego z realizmem politycznym. Wy-

dawały się przede wszystkim wariackim zakładem o przyszłość, a realizmu nabrały, gdy upadł komunizm.

Z KOR-u wyniosłem przekonanie, że demokracja pilnie i zawsze potrzebuje niepokornych obywateli. Zresztą samo pojęcie obywatela/obywatelki mieści w sobie niepokorę, bo zakłada zdolność do autonomicznego rozstrzygania, jakich polityk wymaga wspólne dobro, i definiowania takiego dobra. Bo tylko ci świadomi, właśnie niepokorni, są w stanie demokracji pilnować oraz naprawiać jej niesprawności, również w buntach.

Nauczyłem się też, żeby w ciężkich czasach nie ugiąć się ani przed siłą, ani przed rozpaczą, tylko próbować robić coś dobrego, z nadzieją na przyszłość. No i uświadomiłem sobie, jak bardzo podstawowym instrumentem zmiany rzeczywistości jest społeczna samoorganizacja – wszak tym były właśnie KOR i potem „Solidarność”.

Od Giedroycia zaś zaczerpnąłem jego wizję polityki wschodniej: nie będzie niepodległej Polski bez niepodległych Ukrainy, Litwy i Białorusi. Uwodziły mnie też niespożyte, również szalone wówczas, energia i misja „Kultury”, by wypatrywać oznak zmiany czy luzowania systemu. Komunizm nie musi trwać – ta wiara kierowała Giedroyciem od lat 50.

Na antypodach takich postaw są realisci czyniący boga z siły i stosujący tę wiarę w praktyce. Należą do nich, by nie szukać daleko, Putin i Kaczyński. A szef PiS-u nie wyłonił się z próżni, bo jego religia domi-

nacji i pogardy dla słabszych ma w Polsce bogate wzory i tradycje. Dmowski i endecja, Piłsudski i sanacja, komuniści i PRL – ten zasób różnych form przemocy i dyskryminacji objął sporą część XX wieku i zakorzenił się w naszych mentalnościach.

Mamy więc wokół wielu małych Romanków, mikro-Piłsudskich czy mini-Stalinków bądź wice-Gierków, którzy tępo przejmują tamte wzory. Ale są też w tym nurcie osoby poważne, wśród nich prof. Bronisław Łagowski, znany historyk idei, od dekad jeden z najbłyskotliwszych kontynuatorów tego dziedzictwa.



Niedawno Łagowski wypowiedział się o agresji Putina i Ukrainie, bulwersując sporo osób. Polska bezmyślnie i nazbyt pośpiesznie zaangażowała się w pomoc Ukrainie – orzekł („Rzeczpospolita”, „Plus Minus”, 30 kwietnia). Bo fałszywe jest przeświadczenie, że polskim „interese” jest niepodległość Ukrainy”. W dodatku Putin ma racjonalne powody, by najechać Ukrainę, za co odpowiedzialność ponosi również nasza polityka. Bo „Polska nie powinna była ułatwiać objęcia władzy elementom skrajnie prawicowym, nacjonalistycznym w Ukrainie. A przemiana wewnętrzna Ukrainy spowodowana była silnymi, właściwie decydującymi, działaniami tych ugrupowań nacjonalistycznych, które były bardzo bojowe i szukające pretekstu do wojny”. Czyli Putin prowadzi wojnę obronną przeciw ukraińskiemu nacjonalizmowi.

W dodatku reagował na ukraińskie zagrożenie nazbyt opieszale. Prezydent Rosji bowiem nie wziął pod uwagę, „jak głęboko sięgnęły wpływy banderowców. Uważał, że ta ideologia jest powierzchownym stanem umysłów mniejszości Ukraińców. I gdy ta mniejszość zostanie odsunięta od władzy, to większość odetchnie z ulgą. Tymczasem Ukraińcy zaczęli uważać się za naród wybrany. I dlatego domagają się od Zachodu rozmaitych świadczeń – moralnych, politycznych i materialnych”.

Nie sądzę, żeby Łagowski ślepo kopiował rosyjską propagandę; raczej autonomicznie doszedł do tych samych ocen. Bo zgodnie z realizmem siły Łagowskiego imperium ma prawo interweniować na terytorium niby byłym, ale wciąż jakoś swoim. Wszak strefy wpływów opierające się na przymusie to niezbywalny filar geopolitycznego ładu. Toteż jeśli zaatakowani bronią się przed wojenną interwencją, ład jest zagrożony.



*Możnym wolno więcej
– uważa Bronisław Łagowski.
Inie wolno ich wydawać na
pastwę „okropnych mediów”
i „okropnego motłochu”*



Przyznam, że nie zdziwiła mnie ta propupitowska i antyukraińska jazda Łagowskiego. Czytałem bowiem w tym czasie zbiór jego publicystyki z lat 1997-2010, wydany niedawno w dwóch tomach („Duch i bezduszość III Rzeczypospolitej”, „Symbole pożarły rzeczywistość”, Universitas, 2021). To lektura arcyciekawa, ponieważ Łagowski nieraz trafnie i boleśnie atakuje polską współczesność, nasze mity i rozmaite tromtadracje. Tyle że tę jego błyskotliwość spowija mrok amoralizmu.

Broni np. akcji „Wisła”, czyli brutalnych przesiedleń ludności ukraińskiej z Polski południowo-wschodniej w latach 1947-50, jako uzasadnionej walki z banderowcami. Ba, wywodzi, że te masowe deportacje ochroniły też deportowanych przed

przemocą ukraińskich „band nacjonalistów”. Co pokazuje, że również realizm siły potrzebuje własnej hipokryzji.

Broni też rosyjskiej strefy wpływów na wschodzie Europy, w tym w Ukrainie, atakując rozmaite demokratyczne lobby w Europie i USA – „neokominternowskie”, jak je nazywa za skrajną amerykańską prawicą – za awanturnicze antagonizowanie Rosji. „Neokominternowcy” bowiem doprowadzili do zmiany amerykańskiej polityki, która zaczęła wspierać prawa Ukraińców do suwerenności i demokracji.

W tym duchu krytykuje Łagowski to, że Polska i Europa biorą w obronę chińskich dysydentów. Po co zadzierać z potęgą, z którą ma się ważne interesy? I kogo obchodzą dysydenci?

Jest w tych wywodach Łagowski sługą siły, chcącym nade wszystko zakonserwować status quo i przemocowe relacje w świecie. Podobnie rozumuje w sprawach naszego polskiego podwórka. Oburza go choćby sprawa abp. Juliusza Paetza, osławionego molestowaniem kleryków. Tyle że piętnuje nie arcybiskupa, lecz tych, którzy ujawnili jego postępowanie. Jakaż podła intryga kryje się za „tym niesamowitym wyolbrzymianiem niewinnych karesów”? – pyta Łagowski.

Nasz realista ma więc za nic ofiary molestowania; drwi nawet z ich przeżyć. Bo najważniejsze jest to, że ujawniając aferę, naruszono panujący hierarchiczny ład – to największy występki. Wszak możliwym wolno więcej, nie wolno natomiast wydawać ich na pastwę „okropnych mediów” i „okropnego motłochu” – jak w innym tekście nazywa Łagowski masowe media i czytelników.

W tym światopoglądzie demokracja to „ustrój linczowania”, społeczeństwo to nie obywatele i obywatelki, lecz masa bliska motłochowi. Demokratyczna rzeczywistość jawi się więc Łagowskiemu jako ponure kłębówisko nieracjonalnych reakcji i decyzji, emocji oraz nieprzewidywalnych zjawisk. I zapewne owa nieprzewidywalność najbardziej godzi w chłodny umysł realisty. Nazywa więc całą III RP „anarchią opresyjną”.

Nie dziwi mnie więc, że Łagowski woli ład, nawet zły i niesprawiedliwy dla wielu, byleby był jasny i przewidywalny dla niektórych. Dlatego aprobował PRL.

W takim ładzie podmiotowość i sprawczość to przywileje elit, reszta społeczeństwa czy też „motłochu” powinna siedzieć cicho, bo nie ma kompetencji, by zabierać głos. Jeśli więc tej większości pozwala się jako tako żyć, niech odczepi się od ważnych spraw, które powinni rozstrzygać między sobą silni i odpowiednio wyposażeni umysłowo. W tej idei powszechnego poddaństwa Łagowski spotyka się z Putinem i Kaczyńskim. Z faszobolszewizmem i nacjonalistycznym populizmem.



Warto więc czytać Łagowskiego po to, żeby pojąć, jakie niebezpieczeństwa i ideologiczne uwiązania niesie tradycyjny realizm polityczny. Zwłaszcza że w niemal każdym z nas, wśród demokratów i demokratek, tkwi coś z tego realizmu – nie da się łatwo wyzbyć tak silnych tradycji pojmowania polityki jako dominacji silniejszych nad słabszymi. W tym sensie teksty Łagowskiego są po trochu lustrem, w którym przegląda się również moje nieczyste sumienie demokraty.

Ta lektura uświadamia także, jak bardzo potrzebujemy innego realizmu: wychylonego w przyszłość realizmu solidarnościowego. Takiego, który stawia na lepszy świat dla zwykłych ludzi, nie tylko elit, i do tych starań chce włączyć po partnersku jak najszerze społeczne gremia. By w naszych społeczeństwach przybyło udziałowców i udziałowczyń władzy, a ubyło tych, którzy uważają się za jej monopolistycznych dysponentów.

Bez takiego współudziału, podpowiada mi mój realizm, bez debat i wzajemnych kompromisów trudne, lecz konieczne zmiany naszych demokracji mają małe szanse powodzenia. ●